

Polskie uniwersytety potrzebują reanimacji

Andrzej Jajszczyk

26-02-2008, ostatnia aktualizacja 26-02-2008 03:58

Albo dokonamy głębokiej reformy naszych uczelni, albo wypadniemy z globalnego rynku edukacyjnego, a najzdolniejsi Polacy wyjadą studiować za granicą – ostrzega profesor akademicki



źródło: *Rzeczpospolita*

Ostatnie tygodnie przyniosły burzliwą debatę na temat stanu polskich uczelni. Dyskusję pobudzoną zapowiedzią minister nauki i szkolnictwa wyższego prof. Barbary Kudryckiej rychłego przeprowadzenia głębokich reform w tym obszarze. Deklarację wypada przyjąć z zadowoleniem, gdyż od wielu lat partie polityczne i rządy szerokim łukiem omijały ten temat, a jest o czym rozmawiać i co reformować.

Mimo imponujących wskaźników wzrostu liczby studentów, poziom badań naukowych i kształcenia na krajowych uczelniach nie odpowiada naszym potrzebom i aspiracjom. Poziom ten obrazują m.in. fatalne pozycje w światowych rankingach uniwersytetów. W najbardziej znanym, przygotowywanym od lat na Uniwersytecie Jiao Tong w Szanghaju, wśród 500 najlepszych wyższych szkół świata znajdują się tylko uniwersytety Jagielloński i Warszawski, oba w czwartej setce. Żadna polska uczelnia nie weszła do setki najlepszych w Europie.

W inaczej zdefiniowanym rankingu, publikowanym przez „The Times Higher Education Supplement”, również wśród 500 najlepszych uczelni świata, poza wymienionymi jest jeszcze tylko Politechnika Warszawska, wszystkie też tylko w czwartej setce. Najlepszy – Uniwersytet Jagielloński – spadł w ostatnim roku o 44 pozycje. W hiszpańskim rankingu Webometrics, obejmującym 4000 najlepszych uczelni świata, nasi przedstawiciele są poza pierwszą pięćsetką.

Przeciwnicy rankingów argumentują, że jeśli ma się takie pieniądze jak Stanford, Harvard, Cambridge czy Oxford, można zajmować wysokie pozycje. Ale wśród uczelni wymienionych przez „The Times” przed naszymi znajduje się, na przykład, osiem uczelni z Chin (trzy w pierwszej setce), po trzy uczelnie z Indii i Malezji, po dwie z Brazylii, Południowej Afryki, Chile i Tajlandii, a także uniwersytety z Argentyny i Meksyku. Niektórzy wzruszają ramionami – po co się przejmować miejscem w rankingu? Stawka jest jednak wysoka, bo przyszli studenci z całego świata, w tym także absolwenci naszych szkół średnich, starannie przeglądają rankingi. Może się okazać, że tylko z tego powodu będziemy bez szans na globalnym rynku usług edukacyjnych.

Czas na konkurencję

Podobnie jak w gospodarce, rozwiązaniem jest tylko konkurencja. Kierunek zmian może nam wskazać przykład Stanów Zjednoczonych, kraju przodującego w innowacyjności. Na około 4 tys. działających tam szkół wyższych najróżniejszych typów i jakości, tylko około 50 to uczelnie najlepszej marki, kształcące elity i pochłaniające lwią część środków przeznaczanych w tym kraju na naukę.

Biorąc pod uwagę, że w Polsce istnieje ponad 400 uczelni państwowych i niepublicznych, prosty rachunek wskazuje, że najwyższą rangę może uzyskać tylko pięć (nie uwzględniam w tym rachunku faktu, że USA są znacznie bogatsze od naszego kraju). Jednoczesne finansowanie stosunkowo dużymi kwotami kilkudziesięciu uczelni z ambicjami nie jest możliwe. Trzeba więc opracować i wprowadzić system finansowania jednostek najlepszych. Ważne jest, by ich wyłanianie odbywało się na gruncie uczciwej konkurencji prowadzącej do powstania autentycznych liderów, a nie dekretowania przez urzędników, polityków bądź uniwersyteckie grupy nacisku, które uczelnie są najlepsze.

Jednym z ważnych powodów słabości polskich szkół wyższych jest dramatycznie niski poziom ich finansowania z budżetu państwa i przez gospodarkę. Od lat znajdujemy się w ogonie Europy, jeżeli chodzi o procent produktu krajowego, który przeznaczamy na szkolnictwo wyższe i naukę. Bez znacznego zwiększenia środków nie mamy co marzyć o gonieniu pelotonu. Ale same nakłady to nie wszystko, zasadnicze znaczenie będzie miał sposób ich podziału. Sposób, który pobudzi konkurencję, a nie utrwali istniejący stan rzeczy.

Gdy przed laty utworzono Komitet Badań Naukowych, większość środków rozdzielano w postaci grantów, obecnie – tylko ok. 16 proc. Ponad 65 proc. nakładów pochłaniają tzw. środki statutowe, które docierają do uczelni i innych jednostek badawczych, choć nie zabiegają o nie w konkursach. W krajach przodujących w nauce jest odwrotnie. Musimy dążyć do tego samego. W konkursach powinny dominować projekty zgłaszane przez naukowców, a nie tzw. projekty zamawiane z tematami wymyślonymi przez urzędników, bo – jak trafnie zauważył prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej prof. Maciej Żylicz – „nie da się zaplanować odkrycia naukowego”. Ostra konkurencja w walce o środki zmusi uczelnie, przynajmniej te z ambicjami naukowymi, do zatrudniania najlepszych ludzi, zdolnych do pozyskiwania grantów, a pozbywania się leni i nieudaczników.

Innym ważnym źródłem finansowania uczelni powinny być środki idące za studentami. Studenci powinni głosować nogami, zmuszając uczelnie do dostosowywania się do oczekiwań klientów.

Zarządzanie uczelniami

Jestem pełen podziwu dla rektorów wielu polskich uczelni, że tak dobrze sobie radzą z zarządzaniem skomplikowanymi firmami, zatrudniającymi często po kilka tysięcy ludzi, którymi są de facto nasze uniwersytety. Wyobraźmy sobie przedsiębiorstwo produkcyjne, na przykład stocznię, w której dyrektora, jego zastępców, a także kierowników głównych działów i ich zastępców wybierają w tajnym głosowaniu wszyscy pracownicy, a do tego 20 proc. głosujących to przedstawiciele klientów stoczni. W dodatku tak wybrani dyrektorzy i kierownicy nie mogą podjąć żadnej istotnej decyzji bez zgody, także wyrażonej w tajnym głosowaniu, całej rady pracowniczej. Taka firma nie miałaby prawa funkcjonować, a jej bankructwo byłoby nieuchronne. A tak przecież działają nasze uczelnie! Z wybieranymi przez pracowników i studentów rektorami i dziekanami kontrolowanymi później przez senaty i rady wydziałów.

Nie jest przypadkiem, że wzorem uczelni amerykańskich również wyższe szkoły europejskie odchodzą od opisanego wyżej archaicznego modelu zarządzania. Nawet w konserwatywnych Niemczech uczelniami kierują profesjonalni menedżerowie wyłonieni w drodze konkursu. I nie wystarczy, jak to zrobiono w obowiązującej u nas ustawie o szkolnictwie wyższym, nazwanie dyrektora administracyjnego kanclerzem. Istota tkwi w jego kompetencjach. W modelu stosowanym w najlepszych uczelniach świata jest także miejsce dla organów obieralnych, które

koncentrują się na działalności typowo akademickiej, związanej z nadawaniem doktoratów i tytułów honorowych, a także reprezentowaniem uczelni na zewnątrz.

Długofalowe kierunki rozwoju uczelni, w tym decyzje o powstawaniu czy likwidacji kierunków badań i kształcenia, podejmują natomiast rady patronackie złożone z osób niezatrudnionych bezpośrednio w uczelni, czyli niezwiązanych z nią własnymi krótkoterminowymi interesami, ale osoby, które kierują się jej długofalowym dobrem.

Model kariery akademickiej

Polskie uczelnie działają według wzorców wprowadzonych ok. 200 lat temu w zupełnie innych warunkach gospodarczych i społecznych, w czasach gdy naukę i kształcenie na poziomie wyższym uprawiała bardzo wąska grupa ludzi. Wzorce te zostały jeszcze utrwalone w czasach komunizmu w krajach będących pod sowiecką dominacją. Ich istotą jest wielostopniowa hierarchia i statyczność. Uznanie zależy od zdobycia habilitacji i profesury, nie zaś od rzeczywiście uzyskanych wyników naukowych. Ewenementem na skalę światową jest u nas nadawanie tytułu profesora przez prezydenta państwa. Taka struktura, a także kolegialność podejmowania zbyt wielu decyzji, są z natury antyinnovacyjne.

Należy więc zlikwidować zarówno habilitacje, jak i tytuł profesora. Ocena pracowników, a także zatrudnianie ich na określonych stanowiskach, powinny być oparte wyłącznie na ocenie ich dorobku i przydatności dla uczelni. Nie wszyscy oczywiście muszą być gwiazdami nauki, publikującymi w najlepszych periodykach, niektórzy mogą być po prostu świetnymi organizatorami dydaktyki czy specjalistami w prowadzeniu skomplikowanych projektów badawczych. Uczelnia, której zależy na wysokim poziomie, będzie wręcz zmuszona do organizowania jawnych i autentycznych konkursów na stanowiska (obecne praktyki pozostawiają dużo do życzenia).

Zniesienie habilitacji umożliwi wprowadzenie bardzo użytecznego modelu kariery akademickiej znanego z krajów anglosaskich. Po ukończonych studiach doktoranckich młody człowiek robi karierę w gospodarce, na przykład pracując w banku, kancelarii prawnej, przedsiębiorstwie produkcyjnym czy pozauczelnianej jednostce badawczej. Po kilkunastu latach ma szansę wystartowania w konkursie na stanowisko profesorskie i kontynuowania kariery naukowej.

Nie trzeba tłumaczyć, jak nieocenione usługi uczelni i jej studentom może oddać taki doświadczony praktyk. Dziś tego modelu nie da się zrealizować, po prostu wymagana jest habilitacja, którą można zrobić tylko na uczelni. Podobne ograniczenie występuje w przypadku zatrudniania nawet znakomitych profesorów, którzy chcieliby przyjechać do Polski z zagranicy.

Z opisywanym modelem kariery wiąże się jawność dorobku naukowego. Walczy o to od lat m.in. prof. Józef Kalisz z Wojskowej Akademii Technicznej. Widać tu pozytywne zmiany, gdyż część uczelni, w tym moja, publikuje na stronach internetowych dorobek wszystkich swoich pracowników.

Mobilność kadry

Typowy model kariery to zdobywanie stopni, począwszy od magistra przez doktora, doktora habilitowanego aż do profesora, a potem praca do emerytury w tych samych murach. Dotyczy to szczególnie uczelni o długiej tradycji akademickiej i najwyższej renomie. Tylko szkoły wyższe stosunkowo nowe bądź o słabym stanie kadrowym są zmuszone do pozyskiwania osób z zewnątrz. Brak ruchliwości kadr powoduje przywiązanie do zastanych rozwiązań, uwiąd dyskusji i ułatwia tworzenie się trwałych, nie zawsze pozytywnych, układów personalnych.

Mobilność kadr jest warunkiem kreatywności i tworzenia zespołów mogących konkurować z najlepszymi w świecie. Jednym z warunków mobilności natomiast jest łatwość zatrudniania i zwalniania pracowników. Dlatego podstawową formą zatrudnienia w uczelniach wyższych i innych placówkach naukowych powinny być kontrakty terminowe (np. trzy- lub pięcioletnie),

które można odnawiać. Mianowania (ale też z możliwością odwołania) powinny dotyczyć tylko najważniejszych pracowników. Podobnie jak w Niemczech, trzeba wprowadzić ustawy zakaz zatrudniania (np. przez 5 lat) własnych doktorantów. Należy też zakazać zatrudniania dzieci pracowników w tej samej uczelni.

Oplaty za studiowanie

Powszechny jest mit o bezpłatności studiów. Nigdzie nie ma studiów za darmo, ktoś musi opłacić kadre, ponieść koszty eksploatacji budynków. Pytanie tylko, czy mają to być wszyscy podatnicy, również tacy, których studiowanie nie interesuje, czy wyłącznie osoby korzystające z usług edukacyjnych. Oczywiście żadne nowoczesne państwo nie może przerzucić całych kosztów studiowania na studentów. Należy więc zbudować odpowiedni system bonów edukacyjnych, stypendiów i pożyczek. Nie dziwią mnie argumenty przeciw wprowadzeniu opłat za studia tam, gdzie ich jeszcze nie ma. Można się obawiać, że reforma ograniczy się do wprowadzenia czesnego, a system wspierania studentów nie powstanie. Warunkiem sukcesu jest zatem rozwiązanie całościowe, a także przekonanie do niego zainteresowanych.

Najważniejszym argumentem za powszechną odpłatnością za usługi edukacyjne w wyższych uczelniach nie jest wcale podreperowanie ich finansów (podobne fundusze będą po prostu płynęły do nich inną drogą, zamiast z budżetu, z kieszeni studentów, które będą z kolei zasilane z budżetu), ale przede wszystkim stworzenie konkurencyjnego rynku uczelni. A konkurencja oznacza jakość usług.

Jednym z warunków powstania autentycznego rynku jest swoboda ustalania wysokości czesnego przez szkoły wyższe. Nie obawiałbym się, że uczelnie wprowadzą od razu zbyt wysokie opłaty, bo to odstraszyłoby ich klientów. Zapewne w perspektywie wielu lat wykształcą się uczelnie o najwyższym poziomie kształcenia i badań naukowych. Będą stosunkowo niewielkie, a ich czesne wysokie. Nie oznacza to, że kształcone przez nie elity będą wyłącznie elitami finansowymi. Podobnie jak to się dzieje na najlepszych uczelniach amerykańskich, kształcić się tam będą najzdolniejsi, niezależnie od grubości portfeli (uczelnie znajdą sposoby, by mniej zasobnym pokryć czesne i zafundować stypendia). Znaczna część szkół wyższych wybierze inny model biznesowy – masowe kształcenie na niezłym poziomie, przy niskich opłatach.

Dojrzewanie do zmian

Niezależnie od nasilającej się krytyki stanu obecnego powinniśmy pamiętać o wielu pozytywnych zmianach zachodzących w ostatnich latach. Wiele nowości do naszych uczelni wprowadziło uczestnictwo w europejskich projektach badawczych i edukacyjnych – ułatwiło kontakty międzynarodowe, umożliwiło korzystanie z aparatury badawczej, rozszerzyło horyzonty, a także było dodatkowym źródłem dochodów.

Reforma szkolnictwa wyższego w Polsce jest niezbędna. Nie ma wątpliwości, że nie będzie łatwa, dotyczy bowiem tak wielu osób i materii tak delikatnej. Trzeba liczyć się z oporem części studentów obawiających się pogorszenia swojej sytuacji, a także części środowiska akademickiego, które nie chce tracić nabytych wcześniej przywilejów, a szczególnie stabilności zatrudnienia. Jednak niepodjęcie tej reformy bądź na skutek nacisków różnych grup interesów połowiczne jej przeprowadzenie, będzie nam grozić zapaścią cywilizacyjną na wielką skalę.

Autor pracuje w Katedrze Telekomunikacji Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (tekst powstał w ramach przygotowań do III Kongresu Obywatelskiego pod auspicjami Polskiego Forum Obywatelskiego)

Źródło : Rzeczpospolita